

Wstęp

Projekt *Źle urodzone*, którego pokłosiem jest ta książka, powstał w dwóch głowach. Pierwsza z nich należy do Marka Woźniczki, młodego śląskiego architekta. Druga należy do mnie. Te dwie głowy, podróżując wspólnie po Polsce, często odwracały się w tym samym kierunku, w stronę szpetnych na pierwszy rzut oka budynków. Zatrzymywaliśmy samochód i podchodziliśmy do nich. Patrzyliśmy zwykle w milczeniu. Coś nas do nich przyciągało, ale tylko Marek, jako architekt, umiał rozpoznać, co to było. W takich sytuacjach mawiał zwykle:

– Dobra architektura.

A potem jechaliśmy dalej.

Coś mi w tym wszystkim nie grało. Skoro to ma być dobra architektura, dlaczego tak spsiała? Skoro spsiała, to dlaczego mi się podoba? I co to w ogóle znaczy „dobra”? Czy to subiektywna ocena, czy też obiektywna weryfikacja? Ja jestem tylko laikiem – mnie po prostu coś się może podobać lub nie. On jest fachowcem i mówiąc „dobra architektura”, musi dokładnie wiedzieć, co ma na myśli. Postanowiliśmy więc zrobić wystawę o tym, jak na tę architekturę powojennego modernizmu patrzemy. Zrobiliśmy – przyszło trochę ludzi, okazało się, że myślą podobnie jak my.

W czasie jednej z tych wspólnych podróży padło hasło „źle urodzone”. Określenie to dobrze oddaje rodowód tych obiektów. Urodziły się w złym czasie, trudnym, bolesnym, byle jakim i parszywym. I jakby tego wszystkiego było mało, gdy czasy się zmieniły, kojarzono je już tylko z tamtą peerelowską bylejąkością. Niekiedy doklejjano im też łatkę totalitaryzmu,

a to przecież musiało oznaczać banicję. I na taką właśnie banicję zesłano najlepsze realizacje z tamtego okresu – zapomnieliśmy o ich istnieniu, przestaliśmy o nie dbać, nie patrzyliśmy w ich stronę. Istniały, lecz dla nas były niewidzialne. Pojawiały się na chwilę tylko wtedy, gdy musieliśmy się z nimi zmierzyć. Tak działo się na Dworcu Centralnym, którego podziemia jeszcze do niedawna były najprawdziwszym westybulum piekła. Nienawidziliśmy ich i dawaliśmy tej nienawiści upust.

Urodziłem się w 1982 roku i nie pamiętam PRL-u. Nie spotkało mnie w tamtej schyłkowej jego fazie nic złego. Dlatego ten specyficzny rodowód funkcjonalizmu nie miał dla mnie specjalnego znaczenia. Chciałem dowiedzieć się o tej architekturze jak najwięcej, czułem potrzebę jej fotografowania właśnie w takim stanie, w jakim aktualnie się znajduje. Robiąc zdjęcia, zaczynałem trochę lepiej ją rozumieć.

Ta książka nie jest dokumentacją najwybitniejszych realizacji obiektów budowlanych powojennego modernizmu w Polsce. Znalazły się w niej jednak obiekty, które rodzą pytania reprezentatywne dla całej architektury tamtego okresu. Spacerując po Sadach Żoliborskich, nie sposób nie zastanawiać się, jak Halinie Skibniewskiej udało się zaprojektować osiedle tak różne od wielkopłytowych blokowisk. I czy rzeczywiście Polacy byli na te blokowiska skazani? Próbując zrozumieć koncepcje Zofii i Oskara Hansenów, trudno nie wyobrazić sobie, jak wyglądałaby Polska, gdyby wtedy, w latach siedemdziesiątych, ktoś ich naprawdę posłuchał. I wreszcie – stając na środku katowickiego rynku, nie sposób nie zadać sobie pytania, czy na pewno z winy architektów miejsce to wygląda dziś tak, a nie inaczej.

Książka ta nie jest też opowieścią o najwybitniejszych architektach tamtej epoki, choć na jej kartach pojawia się wiele postaci wielkiego formatu. Mam jednak nadzieję, że każda z opisanych tu historii ukazuje nieco inny wycinek rzeczywistości, w jakiej przyszło funkcjonować twórcom tamtej epoki.

Nie jest to też książka historyczna ani tym bardziej kompendium. Reportaż rządzi się swoimi prawami, jest gatunkiem subiektywnym i autorskim. Rozmawiając z moimi bohaterami i zgłębiając konkretne zagadnienia, nie miałem i nie mam aspiracji do odkrywania jedynej obowiązującej

Wstęp

wersji przeszłości. Ta książka jest jedynie zapisem skromnej próby zrozumienia architektury wraz z okolicznościami jej powstania i upadku. Być może inni, stojąc kiedyś przed świętej pamięci dworcem w Katowicach, musieli zmierzyć się z podobnymi pytaniami co ja. Być może dziś, dostrzegając jego brak, borykają się z kolejnymi. Mam nadzieję, że tutaj znajdą odpowiedź na część z nich.

Tej książki by nie było, gdyby nie Marek Woźniczka, i dlatego jemu ją dedykuję.

Filip Springer
Poznań – Warszawa, grudzień 2011

Mgnienie

Jego dobry przyjaciel i jednocześnie wybitny krytyk architektury, Lewis Mumford, napisał o nim tak:

„Ci, którzy znali z bliska pracę Macieja Nowickiego, którzy mogą ocenić zarówno jego możliwości, jak i wykonanie, nie mają wątpliwości, że nosił w sobie zarodek nowej ery”^{*}.

Trzydziestego sierpnia 1950 roku ten zarodek, a może już cała nowa era, wsiadł wraz z nim do samolotu linii TWA, lot numer 903, z Bombaju do Nowego Jorku. Gdzieś nad Saharą, w środku nocy, wszystko się skończyło, choć tak naprawdę nawet się nie zaczęło.

Miał dwadzieścia jeden lat, gdy zaprojektował swój pierwszy budynek – dom rodziców w Warszawie – i czterdzieści lat, gdy swoim ostatnim projektem zmienił bieg historii architektury. Wszystko, co było pomiędzy, to nieustanny pośpiech.

W ciągu swojego krótkiego życia Maciej Nowicki zaprojektował w Polsce kilkanaście budynków, ale większość z nich starła na proch wojenna zawierucha. Pozostał Dom Wycieczkowy w Augustowie i kawałek płotu cmentarza na warszawskim Wawrzyszewie. Uciekając z wyburzanej Warszawy, znalazł się na Podhalu i wraz ze skompletowanym tam naprędce zespołem zaczął opracowywać koncepcję odbudowy stolicy. Gdy wojna się skończyła, wzięł wszystkie szkice i wyruszył pieszo z Zakopanego do Krakowa, gdzie miał na niego czekać samolot.

^{*} Tadeusz Mycek, *Spotkania z mistrzami. Portrety 63 architektów polskich*, Warszawa 1998, s. 27.

To zabrzmiało jak ponury żart, ale czekając na swój lot, powiedział wtedy przyjaciółce, Wandzie Telakowskiej:

„Tak bardzo lubię latać samolotem, że latałbym nawet wówczas, gdybym wiedział, że przy tym zginę”^{*}.

Po wojnie Maciej Nowicki projektuje: wzór guzika munduru wojskowego, stempel pocztowy dla Warszawy, typową zagrodę wiejską, koncepcję prowadzenia miejskiej infrastruktury zbiorczej w kanałach, linowo-masztową konstrukcję przesłonięcia dachu sali Sejmu, dwupoziomowe Aleje Jerozolimskie, scenariusz filmu o Warszawie oraz cykl książeczek opowiadających perypetie kilku gąsek. W tym czasie wynosi kubły z brudną wodą i sprzęta w zaimprovizowanych sanitariatach swojej wilanowskiej pracowni. Odwiedzających go tam gości zabiera do parku. Spacerują alejkami, a on opowiada z zapalem. Czasami urywa nagle, speszony, staje na sztywnych nogach i chowa głowę w ramionach, lekko zażenowany swoim nadmiernym entuzjazmem.

Tak, Maciej Nowicki spieszył się – dziś trudno rozstrząsać, czy sam tak chciał, czy zmusiły go do tego czasy, w których żył.

W grudniu 1946 roku wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych jako polski przedstawiciel przy zespole projektującym siedzibę ONZ, w skład którego wchodzi: Le Corbusier, Oscar Niemeyer, Sven Markelius, Wallace Harrison, Howard Robertson i właśnie Maciej Nowicki, który w tym gronie nie ma kompleksów. W czasie konsultacji prezentuje szkice, które wprawiają światowe sławy w prawdziwe zdumienie.

Ameryka go chce. Jako zewnętrzny recenzent zaczyna współpracować z nowojorskim Pratt Institute i School of Design w Raleigh. Właśnie dla tego miasta projektuje halę, która zrewolucjonizuje architekturę. To Dorton Arena, obiekt, który umieszcza się dziś w każdym porządnym podręczniku dla przyszłych architektów. Dwa gigantyczne żelbetowe łuki krzyżujące się tuż przy ziemi, a pod nimi świetlista przestrzeń, w której farmerzy stanu Karolina Północna mają prezentować swoje krowy i rasowe buhaje.

W Stanach współpracuje z Eero Saarinenem i Albertem Mayerem. Wkrótce otrzymuje zlecenie, o jakim jeszcze niedawno nie mógł nawet

^{*} Tadeusz Barucki, *Maciej Nowicki*, Warszawa 1980, s. 10.

marzyć. Ma wybudować całe miasto – Czandigarh, stolicę Pendżabu i Harijany. Leci do Indii.

Jego Czandigarh wygląda jak mokry liść przyklejony do równiny u stóp Himalajów. Pracuje bez wytchnienia. Mimo że przyjechał do Indii z gotowymi pomysłami, to zetknąwszy się z lokalną atmosferą, zmienia plany i wymyśla niemal wszystko od nowa. Dwudziestego drugiego sierpnia spotyka się ze swoim współpracownikiem Albertem Mayerem i pokazuje mu rysunki. Chwilę potem koncepcja jest prezentowana indyjskim zleceniodawcom. Są zachwyceni, proponują polskiemu architektowi miejsce w radzie miasta, by mógł nadzorować budowę na miejscu. Nowicki się zgadza, musi tylko zamknąć kilka spraw w Stanach.

Wsiada więc do tego cholernego samolotu TWA, lot 903, relacji Bombaj – Nowy Jork z międzylądowaniami w Kairze i Rzymie.

Zostaje po nim pustka tak wielka, że Czandigarh musi po nim kończyć sam Le Corbusier.

Nowa era rozpoczyna się już bez niego*.

* Choć Maciej Nowicki uznawany jest za jednego z najwybitniejszych architektów powojennej Polski, jego projekty doczekały się w kraju niewielu opracowań. Przygotowując ten tekst, korzystałem ze wspomnianej wcześniej niewielkiej książeczki Tadeusza Baruckiego. Cennym źródłem informacji o Nowickim są też prace doktor Marty A. Urbańskiej z Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej (m.in. *Maciej Nowicki, humanista i wizjoner*, Kraków 2000). Ponadto odwołuję się do wywiadu przeprowadzonego z Martą Urbańską przez Nicka Hodge'a (*Maciej Nowicki: A Passage to India*, www.krakowpost.com).

Związek przyczynowo-skutkowy

Część I. Skutek

Gdy pokazuje majstrom projekt swojego pierwszego domu, patrzą na niego jak na wariata.

– Panie kochany, nam się z trudem udaje postawić prostą ścianę, a co dopiero coś takiego – mówią, a potem odchodzą. Na rysunku jest najprawdziwsze igloo, tyle że wybudowane z cegieł. Ma stać na wrocławskim Zalesiu, jest początek lat sześćdziesiątych. On właśnie kupił z uciulanymi oszczędności niewielką działkę przy ulicy Moniuszki. Na budowę normalnego domu go nie stać, w okolicy wciąż trwają jednak powojenne porządki – remonty i rozbiórki poniemieckich domów. Zwozi więc zdobyczną cegłę, a potem sam wznosi idealnie okrągłą kopułę. Na samej górze umieszcza świetlik. Od wewnątrz ociepla samodzielnie wymyśloną ociepliną, z zewnątrz obkłada kopułę papą i blachą aluminiową. O ile z zewnątrz domek igloo budzi tylko zainteresowanie, o tyle od wewnątrz po prostu zachwyca. Jest w nim więcej przestrzeni, niż mogłoby się wydawać. Pośrodku przestronnego salonu z dużymi oknami stoi kominek. Na obwodzie kopuły rozmieszczono dwa pokoje, niewielką łazienkę oraz kuchnię. Dodatkowa powierzchnia użytkowa znajduje się na antresoli. Tutaj Witold Lipiński planuje urządzić swoją pracownię. Prowadzące tam schody powstają z dębu zwalonego w czasie wycinki w pobliskim parku Szczytnickim.

– Myśmy na początku patrzyli na to igloo jak na dom kawalera, miejsce, które ma imponować. Na kobietach taki dom musiał robić ogromne wrażenie, i z pewnością robił. Tyle że jak budowa się kończyła, Witold był już szczęśliwie zaręczony i wiadomo było, że dom powstaje dla jego

przyszłej rodziny – wspomina profesor Waldemar Wawrzyniak, uczeń, a później współpracownik Lipińskiego – i ja chyba dopiero wtedy zacząłem patrzeć na to miejsce jak na schronienie, a nie manifestację czegośkolwiek. I trochę lepiej zrozuiałem samego Witolda.

– To była jego wielka idea – dodaje Bożena Lipińska, wdowa po profesorze. – Przez wiele lat prowadził w tym domu pomiary temperatury i wilgotności, które stały się potem podstawą jego pracy habilitacyjnej. Rozbudowywał go, ulepszał, dodał oranżerię. Dom był eksperymentem, który się powiódł.

Ten eksperyment do dziś pozostaje jednym z najbardziej oryginalnych domów jednorodzinnych wybudowanych w powojennej Polsce.

We Wrocławiu powstają jeszcze dwa igloo jego autorstwa. Żadne z nich nie jest tak udane jak jego własne. Kopułki przykryte aluminium miały też stanąć w jednym z ośrodków czasowych pod Wrocławiem. Te domy to jednak załedwie początek. Pracując na Politechnice Wrocławskiej, Lipiński zaczyna się interesować architekturą bioklimatyczną, jest jednym z pionierów myślenia ekologicznego w polskim budownictwie. W swoich kolejnych pracach i koncepcjach próbuje stworzyć domy, których ogrzanie i oświetlenie kosztuje jak najmniej. To on pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych, w czasach tryumfu wielkiej płyty i jednorodzinnej „kostki polskiej”, kładzie podwaliny pod coś, co dziś nazwalibyśmy architekturą pasywną. Koncepcje Lipińskiego są prekursorskie. Przy niemal każdym projektowanym przez niego domu znajduje się niewielka oranżeria, umożliwiająca uprawę warzyw. Niektóre obiekty mają być choćby częściowo niezależne energetycznie, są więc wyposażone w słoneczne lub wiatrowe generatory prądu.

– Jakby cały czas się obawiał, że tego wszystkiego zabraknie, prawda? – zwraca uwagę Jacek Frąckiewicz, przyjaciel rodziny.

Jest rok 1960, gdy na biurko Witolda Lipińskiego trafia zlecenie zaprojektowania obserwatorium meteorologicznego na Śnieżce. Od pierwszej połowy XIX wieku na szczycie prowadzone są pomiary. Stojące tam kamienne schronisko przestaje jednak spełniać swoje funkcje i pod wpływem warunków rozpada się w oczach. Bo na Śnieżce wszystko jest bardziej. Przez trzysta pięćdziesiąt osiem dni w roku wieje tam wiatr, przez

dwieście dziewięćdziesiąt sześć dni jest mgła, przez dwieście czterdzieści dni coś pada, przez sto siedemdziesiąt pięć dni temperatura spada poniżej zera. Jak wieje, to tak, że się nie da oddychać. Jak mgła, to taka, że przed samochodami muszą iść robotnicy i badać, czy dalej jest droga, czy już tylko przepaść. Jak pada, to zwykle deszcz albo deszcz ze śniegiem, i to tak, że potem wylewa się wodę z butów. Śniegu nie ma tylko w lipcu*. Jak jest zimno, to nawet minus trzydzieści. Śnieżka – najwyższy szczyt Karkonoszy – to tysiąc sześćset dwa metry problemów.

Nowe obserwatorium ma być tanie, wygodne i stanąć tak szybko, jak się da. Lipiński zaprasza do współpracy młodszego kolegę, Waldemara Wawrzyniaka:

– Koncepcję wymyślił Witold, ja byłem jego pomocnikiem, wykonywałem niezbędną dokumentację i rysunki. Gdy zaproponował, byśmy wspólnie podpisali się pod projektem, byłem zaszczycony. Nie spodziewałem się takiego wyróżnienia – opowiada dziś profesor Wawrzyniak.

Wstępną koncepcję mają gotową w listopadzie 1960 roku. Projekt zakłada powstanie na szczycie Śnieżki trzech spodków spiętych trzosem wieży o łącznej powierzchni użytkowej tysiąca pięćset metrów. Mają pomieścić restaurację, pokoje socjalne dla pracowników i gabinety naukowe wraz z niezbędną aparaturą. Całość ma być wkomponowana w szczyt Śnieżki i połączyć w słońcu dzięki aluminiowej elewacji. Kształt budynku wynika z lokalizacji obiektu i warunków tam panujących. Śnieżka jest omiataana wicherami z każdej strony, ich kierunku nie sposób przewidzieć. Jednocześnie to one są przedmiotem prowadzonych tu badań. Budynek nie może w to ingerować.

„Zasugerowały mnie charakterystyczne dla Karkonoszy grupy skalne uformowane erozją. Ze spiętrzeń eliptycznych głazów zapożyczyłem przyszły kształt obiektu. W grę wchodził też aspekt aerodynamiczny, dominujący przy konstrukcji samolotów”*** – tłumaczy w jednym z wywiadów.

Charakterystyczny kształt obserwatorium przywodzi na myśl nie tylko karkonoskie głazy. Coraz częściej mówi się, że na Śnieżce wylądowały UFO. Opublikowany w „Roczniku Jeleniogórskim” tekst o budowie

* Dane meteorologiczne dotyczące Śnieżki z początku lat sześćdziesiątych XX wieku przytaczam za tekstem Marii Jarmolukowej *Marsjańskie talerze*, opublikowanym w „Roczniku Jeleniogórskim” 1974, t. XII.

** Maria Jarmolukowa, *Marsjańskie talerze*, op. cit.

obserwatorium nosi tytuł *Marsjańskie talerze*. W wolnej Polsce przyłgnie do budynku jeszcze jedno określenie – „trzy hamburgery”.

Koncepcja Lipińskiego oprócz zainteresowania budzi wiele kontrowersji, nikt z decydentów nie spodziewał się chyba aż tak futurystycznej formy. Opiniujący projekt profesor Hryniewiecki wygłasza jednak peany na jego cześć, wprowadza kilka nieznaczących poprawek i przekonuje inwestora, że obiekt warto wybudować. Zapada więc decyzja: budujemy.

Prace ruszają jednak dopiero trzy lata później, w czerwcu 1964 roku. Zanim robotnicy wejdą na szczyt, muszą wybudować sobie drogę. Po roku roboty zostają wstrzymane, bo Najwyższa Izba Kontroli doszukuje się nieprawidłowości w dokumentacji. W styczniu 1966 roku prace znów mogłyby ruszyć, ale jakoś nie ruszają, bo brakuje samochodów i ludzi. Główny wykonawca ma do dyspozycji raptem dwa wysłużone i dwa pożyczone ZiŁ-y, które na karkonoskich podjazdach wyją, jakby zaraz miały wyzionąć ducha. Ostatecznie umacnianie drogi trwać będzie do 1971 roku.

Budowa samego obserwatorium zaczyna się dopiero w 1967 roku. Problemem jest wszystko – dobór ludzi, którzy nie chcą pracować w trudnych warunkach (ci, co chcą, nie bardzo się do tego nadają, bo niewiele umieją; ci, co umieją, uciekają z budowy po kilku dniach); miejsce, w którym mogliby spać; pogoda, która na Śnieżce nikomu nie ułatwia życia.

Dwa lata trwa budowa hotelu robotniczego na Równi pod Śnieżką i przepompowni wody na samym szczycie. Powstaje wodociąg na zboczu góry, rozebrane zostaje też stare schronisko. Latem 1971 roku zaczynają odlewać fundamenty obserwatorium. Wkrótce potem pojawia się stelaż konstrukcji pierwszego spodka. Prace są co chwila przerywane, bo przy wietrze wiejącym z prędkością stu kilometrów na godzinę nie da się oddychać. Gdy udaje się zamknąć pierwszy spodek i wznieść kolejne, drgania konstrukcji, których przyczyną są podmuchy wiatru, powodują samoczynne otwieranie się okien. Wiatr wypycha też niektóre szyby do środka, nawiewając przy okazji całe góry śniegu. W styczniu 1974 roku setki uczniów, studentów, ratowników GOPR-u i żołnierzy w czynie społecznym odśnieżają drogę na szczyt, by można tam było przetransportować sześćdziesiąt trzy beczki z paliwem niezbędnym do rozruchu ogrzewania. Ich trud okazuje się jednak próżny, bo instalacja

grzewcza i tak nie działa, rusza dopiero w kwietniu. Nawet wtedy jednak prace wykończeniowe nie mogą się rozpocząć, bo nadal wieje i sypie śnieg. Ostatecznie obserwatorium zostaje oddane pod koniec 1974 roku – jedenaście lat po planowanym przez inwestora ukończeniu budowy. Zamiast dziewięciu milionów złotych inwestycja kosztuje dwa razy więcej.

– Na nadzory jeździliśmy na zmianę, bo na dłuższą metę to było zbyt wyczerpujące. Warunki były najmniejszym problemem, najgorsze były niekończące się negocjacje z inwestorami i fatalni fachowcy. Na palcach jednej ręki można policzyć takich, którzy znali się na robocie – wspomina Waldemar Wawrzyński. – Nikt z nas nie spodziewał się, że tyle to potrwa.

– Witold sam pokazywał niektórym majstrom, jak kłaść posadzkę. Waldek przez tydzień siedział na szczycie i patrzył im na ręce, czy mur oporowy stawiają prosto. Tam się zderzyła finezja architektów z prozą życia w PRL-u – dodaje Bożena Lipińska. – Gdy to się skończyło, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Pod koniec lat siedemdziesiątych z zakładową wycieczką w Karkonosze wybiera się Zdzisław Lipiński, brat Witolda. Na szczyt Śnieżki wspina się bardziej podekscytowany niż inni, na końcu przyspiesza, chce być tam pierwszy. Gdy zdyszani uczestnicy wycieczki w końcu do niego dołączają, Zdzisław Lipiński stoi już tam dumny jak paw i gotowy do przemowy.

– To obserwatorium zaprojektował mój brat – zaczyna.

Ale ich bardziej interesuje ciepła herbata i fasolka po bretońsku, które sprzedawane są w największym dysku, więc kręcą tylko grzecznie głowami, wyrażając uznanie, i wchodzą do środka.

Szesnastego marca 2009 roku taras najmniejszego spodka obserwatorium na Śnieżce zawala się pod ciężarem zalegającego na nim śniegu i lodu. Natychmiast ewakuowani zostają pracownicy stacji, na miejscu pojawiają się też inspektorzy budowlani. Media huczą o katastrofie budowlanej, która może zakończyć żywot „marsjańskich talerzy”. Pojawiają się też głosy, by przy tej smutnej okazji obserwatorium rozebrać. Szkody okazują się poważne, jednak mniejsze, niż sądzono. Rozpoczyna się remont*.

* Remont zniszczonej części obserwatorium na Śnieżce trwał do 2011 roku.

– Jeden z zaprzyjaźnionych materiałowców powiedział mi wtedy, że to i tak cud, że ten budynek wytrzymał tyle lat. Parametry stali, z jakiej go budowaliśmy, były brane zwykle z księżyca. Mogła być trzy razy bardziej wytrzymała niż w dokumentach albo dwa razy słabsza. I nikt nie wiedział, jak naprawdę jest – tłumaczył Waldemar Wawrzyniak.

Poza domami we Wrocławiu i flagową Śnieżką Witold Lipiński nie ma na swoim koncie zbyt wielu realizacji. Najbardziej żałował chyba tego, że nigdy nie zaprojektował kościoła. Często o tym mówił. Jechali przez Polskę, a on od czasu do czasu pokazywał na jakiś współczesny kościół i mówił tylko lekko rozczarowany:

– A takie to budują!

– Był wierzący, ale nie manifestacyjnie. Architektura to było jednak dla niego przede wszystkim rozwiązywanie problemów. A w kościele problemy do rozwiązania są przecież jedyne w swoim rodzaju, prawda? – opowiada Bożena Lipińska.

– Tata był niezwykle kreatywny, dzieciństwo z nim nie mogło być nudne: bez przerwy wymyślał nowe zabawy i gry, uczył mnie majsterkowania, opowiadał o lotnictwie, którym się pasjonował. Niechętnie patrzył tylko na zabawę w wojnę – wspomina Miłosz Lipiński. – Długo się zastanawiałem, dlaczego budował w taki sposób, dlaczego taki nacisk kładł na samowystarczalność budynków i ich odporność na warunki. I dlaczego one były tak kosmiczne. Kiedyś pomyślałem sobie, że te jego wojenne doświadczenia mogą mieć z tym związek. To może nawet było podświadome, może chodziło o taki wewnętrzny imperatyw, by poradzić sobie w każdej sytuacji. A dom miał być do tego narzędziem. Dlatego on budował te skorupy, niemalże bunkry.

– To mógł być wybieg w przyszłość, odcięcie się od przeszłości. Jego pomysły były skrajnie futurystyczne, jakby chciał patrzeć tylko do przodu i nie spoglądać za siebie – dodaje Waldemar Wawrzyniak: – Myśmy o tej jego wojnie nigdy nie rozmawiali. Ja się dowiedziałem dość późno, co on robił.

– Witold nie wracał zbyt chętnie do przeszłości. Nie wiem, czy ona miała wpływ na jego projekty. Jeśli tak, to nigdy nie mówił o tym wprost – wspomina Bożena Lipińska.

Profesor Witold Lipiński zmarł w 2005 roku.